

Urodziłem się w 1937 roku w Stepaniu w regionie wołyńskim- raczej małe miasteczko z biurem lokalnego rządu. W całości musiało tam mieszkać około 2500-3000 ludzi. 40% z nich to są narodowości ukraińskiej, 50% to Żydzi, a reszta to Polacy. To znaczy, że ludność polska była mniejszością- było ich około 10%, ale życie tam przebiegało zawsze w porządku. Moja matka i mój ojciec byli nauczycielami w szkole podstawowej. Oboje byli absolwentami szkół zawodowych, moja matka szkoły we Lwowie, a ojciec w Kielcach. Są to także miejsca, z których każde z nich pochodzi. Zaczęli pracować w Stepaniu w 1922 roku.

W 1939 miałem 7 lat, dopiero skończyłem pierwszą klasę w szkole podstawowej. Tamten rok był dla mnie wyjątkowo interesujący, ponieważ odbyliśmy interesującą wycieczkę: podróż nad polskie wybrzeże(które należy do tych skromnych). Byliśmy na półwyspie helskim. Wszystko to wydarzyło się w sierpniu przy przyjemnej pogodzie. Czuło się wtedy jakiś niepokój w powietrzu, przemieszczanie się armii. Na Helu stacjonowała już wtedy jedna jednostka wojskowa, więc można powiedzieć, że mieliśmy już wgląd na sytuację, który utwierdził nas w przekonaniu, że coś złego się dzieje. W drodze powrotnej do Stepania zatrzymaliśmy się w Warszawie, a tak dokładniej w Rembertowie koło Warszawy. Było to miejsce, gdzie mieszkała siostra mojej matki. (Moja matka miała dwie siostry: jedną mieszkającą w Rembertowie, a druga we Lwowie). Jej mąż był kapitanem armii polskiej. Rembertów było miejscem, gdzie część jednostek wojskowych miała swoją bazę.

W każdym razie, doszło do spotkania rodzinnego w Rembertowie. Była rodzina z Lwowa, my ze Stepania i krewni z Rembertowa. Trzy siostry się spotkały. To był piękny moment. Jak później się okazało, było to ostatnie rodzinne spotkanie.

W momencie powrotu do Stepania mój ojciec błyskawicznie otrzymał wezwanie do armii. Był żołnierzem rezerwowym armii- miał stopień podporucznika. Był nawet dowódcą rezerwowych żołnierzy w całym regionie, więc w związku z tym musiał stawić się w gotowości do służby 31 sierpnia we Włodzimierzu Wołyńskim leżącym wtedy na samej granicy z Polską.

Pożegnaliśmy się z ojcem tego 31 sierpnia. Było to zorganizowany w sposób ceremonialny. Zrobiliśmy to na miejskim rynku głównym. Było tam wielu jego przyjaciół, kolegów, podopiecznych, z którymi niegdyś się spotykał każdego dnia. Mój ojciec był bardzo aktywną osobą. Posiadając wiele talentów, prowadził wiele kółek i grup, jak grupa modelarska. Był twórcą balonu, który wytrzymał drogę do samej Danii. W świetle tego wszystkiego, można sobie wyobrazić, że pożegnanie było bardzo uroczyste, lecz także bardzo smutne dla nas, ponieważ żegnaliśmy się z własnym ojcem, który wyruszał wtedy w nieznaną na jakąś wojnę.

Po tygodniu otrzymaliśmy od niego telegram. Prosił o przesłanie następujących rzeczy: jego broni palnej, gogli oraz zasad dla piechoty. Oczywiście uczyniliśmy to, jednak nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy ów paczkę otrzymał i czy miał jakkolwiek użytek z jej zawartości.

W każdym razie, nadszedł pierwszy wrzesień i miała rozpocząć się szkoła. Nie doszło do tego. Mijały dni i nadszedł w końcu 17sty wrzesień, Sowieci nadchodzili z drugiej strony kraju. Wyglądającą mniej więcej jak coś, co przyniósł kot, ujrzeliśmy armię. Żołnierzy z karabinami wiszącymi na sznurku, z jakimiś workami na plecach, w płaszczach sięgających im aż po same kostki. Ta cała sytuacja trochę nas zaniepokoiła. Bardzo martwiliśmy się o naszego ojca, o to, co dokładnie się z nim dzieje. Nie przychodziła jednak żadna informacja od niego.

Kiedy tamci nadeszli, przejęli baraki polskich żołnierzy rezerwowych. Z czasem mogliśmy zauważyć, że miejscowi zaczęli zmieniać swoje nastawienie do nas, w szczególności ludność ukraińska, Ci, którzy są bardziej skorzy do wojny. Pewnego razu, grupka z nich przyszła do naszego domu, do mojej matki prosząc ją o broń, ponieważ wiedzieli, że mój ojciec był żołnierzem. Moja matka powiedziała im, że nic im nie będzie

dawać, ponieważ nie miała tej broni. Odeszli jednocześnie strasząc ją :” Wkrótce przybędziemy ponownie”.

W końcu zaczęła się szkoła, jednak nie ta polska, lecz ukraińska. Musiałem zacząć od początku, od pierwszej klasy tym razem w języku ukraińskim. To była sztuczna zmiana.

Jeden rok minął... Święta Bożego Narodzenia... i wciąż nie było żadnych wieści o ojcu. Kiedy nadszedł marzec w końcu dostaliśmy list od niego. Napisano w nim, że ojciec jest przetrzymywany wraz z innymi żołnierzami w Kozielsku. Nie była to uspokajająca informacja. Napisał, że ich stan cały czas się pogarsza. Chciał, żebyśmy mu coś przesłali. Przygotowaliśmy mu paczkę z żywnością i odzieżą. Udało nam się ją wysłać, jednak na nieszczęście nigdy do niego nie dotarła.

13sty kwiecień... A raczej noc z 12stego na 13stego kwietnia. Mieszkaliśmy wtedy już w szkole. Dla nauczycieli były przeznaczone dwa piętra. Moja matka była jeszcze wtedy nauczycielką. Przyszli. Dwóch żołnierzy. Może jeden bez uniformu. Tłukli w drzwi bardzo głośno. Moja matka była przerażona. Nie otworzyła. Był tam też jeden z naszych sąsiadów, niepełnosprawny człowiek.

Drzwi w końcu otworzono i weszli do środka. Padł rozkaz, że mamy się szybko pakować, ponieważ mieliśmy zostać zabrani do naszego ojca. Taki miał być plan: *mieliśmy zostać zabrani do naszego ojca*. Całe to pakowanie się było bardzo dziwne... Jak ktoś może się spakować do takiej podróży w środku nocy mając dwójkę dzieci(ja miałem wtedy 7 lat, a moja siostra tylko 5 lat więcej ode mnie)? Nasi sąsiedzi na pomagali. Wkładaliśmy wszystko w naszą odzież i do worków, aby zabrać jak najwięcej. W międzyczasie, przyjechały powozy dla chłopów. Zapakowaliśmy wszystko na nie i poszliśmy na stację kolejową do Małyńska oddaloną o około 15 kilometrów od Stepania. Zaprowadzili nas na tory boczne, gdzie mieli tam te pociągowe wagony towarowe. Opchali nas tam do środka.

Znajdowały się tam podwójne drewniane prycze po każdej stronie drzwi. Musieliśmy tam zmieścić wszystkie nasze rzeczy i nas samych. Szybko zatrzasnęli drzwi. Było tam kilka miejsc wolnych, więc wpuszczali od czasu do czasu jakichś ludzi w trakcie drogi, więc w końcu wagon był pełny. Byliśmy w drodze do nieznanego od dwóch tygodni. Bez jedzenia, praktycznie bez niczego. Czasami dawali nam jakichś stary chleb mający czarny kolor. Po dwóch tygodniach dojechaliśmy do stepów kazachstańskich.

Nie było nawet chwili w trakcie samej podróży, w trakcie której chociaż na chwilę uwierzyliśmy, że naprawdę jechaliśmy do naszego ojca. Wiedzieliśmy tylko, że okna mają założone kraty i, że kierujemy się na wschód. W Kazachstanie nasze pierwsze myśli były o tym, gdzie by tu zamieszkać. Dostaliśmy coś podobnego do schronienia, ziemiankę, w której wcześniej przetrzymywano bydło. Było tam przygotowane jakiś rodzaj łóżka, lepsze to niż nic. Byliśmy w rozsypce. Nie było jednak żadnej szansy odwołania się od tego, żadnej szansy na zmianę sytuacji, żadnej możliwości protestu, tylko chęć do zrozumienia i poznania tego nowego środowiska. Spędziliśmy tam 6 lat, wróciliśmy w 1946 roku.

Wracaliśmy przez dwa miesiące. Ponownie w wagonie towarowym. W oknach nie było już jednak krat. Można było powiedzieć, że mieliśmy już wtedy jakąś namiastkę wolności. Mogłeś wyskoczyć z wagonu na stacji, poszukać czegoś przydatnego, wymienić na coś, żeby otrzymać coś do jedzenia. Pierwsze co minęliśmy, to rodzinny region mojej matki, stare polskie kresy wschodnie. W Skarżysku na stacji kolejowej moja mama wysłała list do rodziny mojego ojca mieszkającej w Kielcach. Do jego rodziców i rodzeństwa, pięciu braci i trzech sióstr, którzy tam mieszkali. Ich dom został całkowicie zniszczony przez bombę w trakcie wojny. Pomimo tego, dostali ten list. Stało się tak, ponieważ nie ruszali się za daleko od ich pierwotnego miejsca pobytu. Poczta jakimś cudem mogła ich odnaleźć. Z listu dowiedzieli się o pomyśle naszego przyjazdu do nich do Polski, niestety bez ojca.

Głównym pytaniem po zaraz po wojnie było: „Jak się teraz po kolei odnaleźć?”. W Polsce było wtedy duże zamieszanie. Przyjaciół jednego z braci mojego ojca był tym, który

zdecydował się nas odnaleźć. Spotkaliśmy się tylko w Gryfinie, blisko granicy z Niemcami. Ponieważ miasto było częściowo zniszczone, naszym podstawowym pomysłem było zostanie jego nowymi mieszkańcami. Kiedy udało mu się nas odnaleźć, powiedział nam, żeby pojechać z nim do Kielc. W Gryfinie było tak naprawdę więcej takich rodzin jak nasza. Zebraliśmy się i poprosiliśmy o podróż tam. Jeden pełny wagon został był w kółko odczepiany i doczepiany do innych pociągów na każdej stacji. W końcu dotarliśmy do Kielc. Przez jakiś czas mieszkaliśmy z rodziną mojego taty. Na początku z jego bratem, a następnie z jego siostrą. Po Syberii, było to rozpoczęciem naszego nowego życia. Jedyne co otrzymałem od Rosji było świadectwo ukończenia 6stej klasy. W Polsce mogłem dzięki temu rozpocząć swoją edukację od 7mej klasy. Zostałem w Kielcach do momentu napisania matury. Następnie rozpocząłem studia na Politechnice Łódzkiej.

Do 1946 roku, do momentu kiedy wróciliśmy do Polski, nie otrzymaliśmy żadnych informacji ani o ojcu, ani o wojnie. Była tylko sowiecka propaganda. Wierzyliśmy, że on żyje. Był w każdym razie nadal jakiś cień nadziei. W Kielcach poprosiliśmy Czerwony Krzyż, aby rozpoczął poszukiwania. Nie było żadnych wieści przez długi czas. W końcu, otrzymaliśmy je z Genewy w Szwajcarii. Napisano w nim, że nasz ojciec był na liście ofiar zbrodni katyńskiej. Nie rozumiałem jak to jest możliwe, ponieważ nasz ojciec był w Kozielsku. Nie rozumieliśmy wtedy całego mechanizmu tej zbrodni. Komunistyczna propaganda otwarcie twierdziła, że to, co się zdarzyło w Katyniu było ewidentną winą niemiecką, ale ich znaliśmy akurat już bardzo dobrze. Wiedzieliśmy dokładniej jak było naprawdę.

Mój ojciec był bardzo życzliwą i utalentowaną osobą. Grał na skrzypcach i tworzył modele. O wielu z tych rzeczy zapomina się bardzo szybko. Smutne jest to, że jego postać jest dla mnie dzisiaj bardzo zamazana.